

**Z poznańskich
pracowni
naukowych**

List do syna

Kapitalizm trzeciej kategorii

Mój Kochany!

Przykro mi, ale muszę Cię trochę rozczarować. Oczekujesz, iż tym łatwiej wyjaśnię Ci pojęcie „polski kapitalizm”, że znam przedwojenne czasy z własnych obserwacji. Nie wzięłaś jednak pod uwagę, że właściwie obaj jesteśmy jakby... rówieśnikami. Ja wówczas, w dwudziestym roku istnienia Polski przedwrzesniowej miałem 16 lat. Akurat tyle, ile Ty teraz, w roku XX-lecia naszej odrodzonej Ojczyzny. I dla mnie, choć przecież tamte czasy pamiętam, pozostały mi z nich tylko wyrwykwe, chłopięce spostrzeżenia. Myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli się posłużę świadectwem współczesnych. Nie tylko świadków, lecz organizatorów życia gospodarczego Polski w latach 1918-1939.

Nie tylko Ciebie zastanawiało, dlaczego w innych ówczesnych państwach kapitalistycznych, również w krajach sąsiadujących z Polską, nastąpił rozwój życia gospodarczego, a Polska zrobiła równocześnie krok wstecz. Przedwojenny ekonomista i finansowiec Julian Kulski¹⁾, tak pisze o tym zjawisku:

„Wieloletnia inflacja oraz brak konkretnego programu gospodarczego i finansowego, będący wynikiem kalejdoskopowo zmieniających się stosunków wewnętrznych i politycznych Polski owego okresu i braku przygotowania kierowników życia gospodarczego stwarzały stan, będący niemal antytezą planowej i racjonalnej gospodarki Państwa. Wynikiem tych lat stało się pogorszenie odzyskanego po zaborcach i okupantach stanu zaoferowania i wyniszczenia materialnego kraju”.

Co do liczb, to wcale się nie dziwię, że wzbudziły Twoją wątpliwość; rzeczywiście brzmią niewiarygodnie. Ale przecież pochodzą z oficjalnego Rocznika Statystycznego na r. 1939. Produkcja przemysłowa Polski nie osiągnęła w roku 1938 poziomu sprzed I wojny światowej i wyniosła 99 procent produkcji wytwarzanej na ziemiach polskich w roku 1913. Niektóre konkretne dane: wydobycie węgla spadło z prawie 41 milionów ton do niewiele ponad 38 milionów ton, a produkcja stali z 1,667 miliona ton do 1,441 miliona ton rocznie. Jak wiesz, najbardziej precyzyjne jest porównanie poziomu produkcji poszczególnych krajów w przeliczeniu na 1 mieszkańca. Otóż to porównanie wypada dla ówczesnej Polski jeszcze bardziej niekorzystnie. Wyobraź sobie, że w roku 1913 na 1 mieszkańca terenów Polski wypadła produkcja równa 30 procentom produkcji przypadającej na 1 mieszkańca Europy, podczas gdy w roku 1939 wynosiła tylko 20 procent ówczesnej przeciętnej dla Europy. Taki był nasz kapitalizm — kapitalizm trzeciej kategorii.

A jego przejawy? Oddaje znowu głos ludziom najbardziej wiarygodnym, związanym z rządami tamtej epoki.

Znany polski ekonomista przedwojenny Wacław Fabierkiewicz²⁾, stwierdzał:

„Nasz węgiel nie był bynajmniej artykułem o znaczeniu „międzynarodowym”, kiedy był wywożony niemal wyłącznie na rynek niemiecki i rynki państw naddunajskich... Cynk nasz nie jest jeszcze produktem o znaczeniu międzynarodowym, pomimo że znajduje pod względem rozmiarów produkcji trzecie miejsce w świecie, ponieważ cynk nasz sprzedaje się dotychczas wyłącznie za pośrednictwem Berlina lub Wie-

dnia. Drzewo nasze... wychodzi na rynki zewnętrzne w przeważającej mierze w postaci surowca, przerabianego w tartaku naszego sąsiada zachodniego”.

I dalej:

„Nasze zwierzęta na pewne rynki nie są wcale puszczane, a na inne wchodzi prawie wyłącznie w postaci najprymitywniejszego surowca — do rzeźni na mięso. Wywóz bekoniów jest bardzo niski. Wędliny eksportują z naszego surowca, ale nie my, lecz nasi sąsiedzi. Nasze jaja są jeszcze dotychczas przesyłane w Niemczech i gorsze wychodzą jako „polski” towar psując nam markę, lepsze otrzymują stempel niemiecki... Cement nasz ma dobre warunki produkcji i pod względem gatunkowym stoi wysoko, ale wychodzi dotychczas na rynki zagraniczne w bardzo niewielkich ilościach, za pośrednictwem firm obcych i przeważnie nie jako cement polski itp. Dotychczas Polska jako dostawca odgrywała rolę bierną, występując raczej w charakterze kraju o typie kolonialnym...”

Wybacz te przydługie cytaty, ale wydaje mi się, że mają większą wymowę, niż moje omówienie. Ja mogę tylko dodać, że obok eksportu surowców i produktów rolnych w najniższym stanie obróbki udział ówczesnej Polski w wymianie międzynarodowej charakteryzowały jeszcze dwa niezwykle wymowne czynniki: emigracja zarobkowa — w okresie międzywojennym wyemigrowało z Polski w poszukiwaniu pracy co najmniej dwa miliony ludzi — oraz rosnące z roku na rok zadłużenie Polski wobec kapitału zagranicznego. W roku 1937 kapitały zagraniczne stanowiły ponad 40 procent kapitałów spółek działających w gospodarce polskiej. Obce kapitały w przemyśle chemicznym sięgały 60 procent, w górnictwie i hutnictwie — ponad 52 procent, w górnictwie naftowym — 87,5 procent...

Rozumiesz chyba, że w ten sposób obcy kapitałiści podporządkowywali sobie polską, a zachowywali ją tylko etykietą i pracę polską?”

Eugeniusz Kwiatkowski⁴⁾, późniejszy wicepremier, gdy był w roku 1926 ministrem przemysłu i handlu, powiedział tak:

„Polityka nasza była dotąd nijaka, ani zimna, ani gorąca; ani w naszym parlamencie, ani w rządzie, ani w całym naszym aparacie biurokratycznym wyraźnego jasnego kierunku nie było”.

Dwa lata później Stefan Starzyński⁵⁾, późniejszy bohaterski Prezydent Warszawy, napisał z gorącością:

„Nasze dotychczasowe życie gospodarcze wegetowało w zaśnieżonych, starych przedpotopowych niemiatach, odcięte i bojące się jakiegokolwiek świeżego powiewu. Symbolem tego: odcięcie nas od dróg morskich i brak własnej floty handlowej...”

A co się w kraju zmieniło? W ciągu 20 lat ani nie rozwinął się przemysł, ani nie poprawiono poziomu życia ludności. Przeciwnie, nastąpiło

¹⁾ M. Szawlewski, „Polska na tle gospodarki światowej”, W-wa 1928, str. 420-421.

²⁾ Eugeniusz Kwiatkowski, „Jaka polityka gospodarcza może wprowadzić nas z kryzysu?”, W-wa, 1926.

³⁾ Stefan Starzyński, Wyd. „Na froncie gospodarczym”, W-wa, 1929, str. 20.

Zbigniew Mika

TAJNIKI METALI

Stereotyp pracowni naukowej to zaciszny pokój, pełen półek z książkami, biurko zasłane stertami notatek, foliów utkanych zakładkami, profesor zawsze w wieku zaawansowanym, jeśli nie podeszłym. Nieraz kojarzy się pracownia z widokiem laboratorium pełnego probówek, kolb, butli z chemikaliami. W podobnej scenarii pokazywano nam Pasteura, Faradaya, czy Edisona i takie pozostały nasze wyobrażenia, bo z rzadka tylko mamy okazję oglądać fotografie Tupolewa, Flemminga, czy naszych uczonych w ich znakomitych pracowniach.

Bogaty warsztat naukowy Katedry Technologii Metali i Metaloznawstwa Politechniki Poznańskiej, jakim jest Zakład Badania Metali — zaskakuje, zadziwia przede wszystkim... ciasnotą i — pozornym — prymitywem. Pełno tu urządzeń, maszyn i przyrządów, stłoczonych od piwnicy budynku — niemal pod dach. Skromny gabinet kierownika katedry, profesora dr. Feliksa Tychowskiego — nie daje nawet schronienia przed gwarem studentów. Ale obecnie trwa sesja egzaminacyjna, więc wyjątkowo cicho tu i spokojnie. Nic nie przeszkadza naszej rozmowie. Profesor mówi:

— Dwudziestu pracowników naukowych i pomocniczych naszej katedry, poza zajęciami dydaktycznymi ze studentami, wiele czasu poświęca badaniom naukowym. Pracujemy w warunkach trudnych, ale chyba z efektami. Dostarczamy przemysłowi nowe rozwiązania technologiczne i techniczne.

Tu znowu stare wyobrażenia o fabryce, ślusarzu czy kowalu — idą w ką. W nowoczesnej technice jest np. problem, podgrzewanie do czerwoności, mówiąc językiem dyletantów, kawałka żelaza czy stali i oddanie go pod młot kowala. Metal rozgrzany w ogniu, utlenia się, traci na objętości, powstaje zgorzel, która przeszkadza w sprawniej obróbce. Co zrobić, by tego uniknąć?

Pomyślał o tym mgr inż. Zygmunt Przyłęcki — adiunkt katedry. Postanowił opracować polską metodę i skonstruować urządzenia, które pozwalałyby na wyeliminowanie tych technicznych „dolegliwości”.

Urządzenia polskie, bo choć podobne znane są za granicą, to w kraju nikt ich nie robi; kupujemy je za dolary. Napisałem: „adiunkt pomyślał”, ale trzeba dodać, że prace nad metodą trwały prawie pięć lat.

Lata trudu młodego naukowca zostały uwiecznione pełnym sukcesem, który trzeba zmierzyć — obok jego osobistej satysfakcji — korzyściami dla gospodarki narodowej. Tych wprawdzie nie da się obliczyć w złotychkach, lecz niech tu dopomoże wyobraźnia czytelnika.

Jako się rzekło — rozgrzany metal utlenia się. Zjawisko to nie będzie występować, gdy atmosfera pieca zostanie odpowiednio zmieniona przez wyeliminowanie tlenu, a zastąpienie go np.: wodorem, helem, azotem. Przedmiot rozgrzany (nawet do czerwoności), w takich warunkach nie ulega żadnym zniekształ-

ceniom, nie traci nawet na zewnętrzny wygląd. Jest to szczególnie ważne przy hartowaniu przedmiotów, już wykończonych, nie wymagających dalszej obróbki. Mowa tu o stworzeniu atmosfery ochronnej.

Drugi rozdział pracy inż. Przyłęckiego poświęcony został regulowaniu atmosfer. W tym przypadku chodzi o dowolne stosowanie takich gazów, które pozwałyby oddziaływać na ogrzewany metal w celu zmiany lub zachowania jego właściwości technologicznych i chemicznych. Oto stał, twarzą, z dużą zawartością węgla, może przez niewłaściwe podgrzanie utracić część tego węgla i stać się bardziej miękką. Może też być i odwrotnie. Trzeba przeto tak dostosować atmosferę pieca przez zasilenie go odpowiednio dobranym rodzajem gazu, by nie doszło do żadnych (lub do niepożądanych) zmian stali.

Jakie zastosować rodzaje gazów, w jakich podawać go dawkami, jak oddziaływać na różne rodzaje stali, aby uzyskać potrzebny efekt? — oto pytanie, na które odpowiedział w swej pracy mgr inż. Zygmunt Przyłęcki.

W ciasnej piwnicy Zakładu Badania Metali stoją trzy wytwornice wypróbowane, gotowe do eksploatacji. Po opracowaniu bowiem metody atmosfer ochronnych i regulowania, inżynier zabrał się do konstruowania urządzeń, umożliwiających jej stosowanie i w ten sposób związał ściśle teorię z praktyką.

Z praktyką w pełnym tego słowa znaczeniu. Jedną z wytwornic powędruje za parę dni do Poznańskich Zakładów Akumulatorowych „Alco”. Pozostałe zostaną przekazane jako wzór do seryjnej produkcji. Warto tu zaznaczyć, że urządzenia te zostały zbudowane w Centralnym Laboratorium Obróbki Plastycznej w Poznaniu, którego dyrektorem jest profesor Feliks Tychowski.

Profesor nie bez dumy mówi, że mgr inż. Przyłęcki — wkrótce dok-

tor — jest wychowankiem tutejszej uczelni. Zresztą nie jedynym, doktoryzującym się pracownikiem naukowym. Profesor wymienia tu mgr. inż. Ludwika Rybczyńskiego i mgr. inż. Zbigniewa Głowackiego.

Badania naukowe pierwszego z nich, mające także duże znaczenie dla przemysłu, dotyczą zwiększenia trwałości narzędzi do obróbki plastycznej. Druga praca traktuje o zmianach strukturalnych przy obróbce cieplnej stali wysokochromowej.

W trudnych warunkach katedra prowadzi pożyteczne badania, rodzą się tu cenne pomysły. Twórczą myśl naukowców wzbogaca codzienną praktykę, pomaga doskonalić polski przemysł. Mimo woli przychodzi na myśl powiedzenie: nie suknia zdobi człowieka... Często decyduje dobra, twórcza atmosfera. A tej w Katedrze Technologii Metali i Metaloznawstwa Politechniki Poznańskiej — nie brak.

Mgr inż. Zygmunt Przyłęcki

Przerwana inspekcja

Zbigniew Szumowski

Przerwana inspekcja

Jeszcze wieczorem 12 stycznia 1945 roku, kiedy rozpoczęła rankiem tego dnia pojeźna ofensywa radzieckich sił zbrojnych w rejonie Sandomierza dokonała potężnej wyrwy w hitlerowskim froncie na Wiśle, gauler Warthegau Greiser był pełen nadziei. Wydając w swej rezydencji nad jeziorem Góreckim przyjęcie na cześć przebywającego właśnie w Poznaniu zastępcy Goebbelsa — Neumanna, dziękował mu w toaście za zapewnienia, „że zgodnie z nieugiętą wolą Wodza, kraj ten nie zdepcze choćby jedna stopa bolszewika”. Twierdził przy tym, że wszyscy Niemcy w Warthegau „gotowi są też, jeśli trzeba, rzucić się jak spoista barykada ciał przeciwko bolszewizmowi”, a nawet dawał wyraz radości, że nadeszła „godzina, w której ostatecznie starły i rzucony na ziemię zostanie bolszewizm”, po czym będzie można już bez przeszkód realizować „postanowienie na wschodzie”.

Sam boi się zwrócić z jakąkolwiek propozycją w tej sprawie. Nie tylko dlatego, że jeszcze 12 wieczorem zapewniał Neumanna o gotowości stworzenia w razie potrzeby „barykady ciał”. W jeszcze większym stopniu dlatego, bo wie, iż wraz z powrotem do Berlina Hitlera, wzmocnił na niego swe wpływy szara eminencja reżimu, szef kancelarii NSDAP — Bormann. Ten zaś, tocząc podstępny walkę przeciwko swemu najpoważniejszemu rywalowi Heinrichowi Himmlerowi, czyha na każdą okazję, by podkopać zaufanie wodza do „wier-

negu Henia”. Sytuację pogarsza fakt, iż sam Himmler, mianowany dowódcą montowanej na terenie Pomorza Zachodniego kontruderzeniowej grupy armii „Weichsel”, musi stale przebywać w kwatrze głównej tego zgrupowania w Wałczu, jest więc pozbawiony możliwości patrzenia na palce Bormanna i krzyżowania jego intryg.

Oto jednak 16 stycznia w południe, kablem łączącym bezpośrednio zamek poznański z Reichskancelią, dociera do Greisera pocieszająca wiadomość. Na wschodzie przedpole Łodzi zmierzają już z Prus Wschodnich skierowane tam rozkazem Hitlera elitarne dywizje. Między innymi „Grossdeutschland” i „Herman Goering”. Dalsze jednostki przerzucane są z głębi Rzeszy a nawet z frontu zachodniego. Siły te uderzając od północy w lekki myśliwiec — jak ocenia Fuehrer — pracy, ważniejszych urzędów.



Mgr inż. Zygmunt Przyłęcki

Przerwana inspekcja

Ostatnie dni Warthegau (3)

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Przerwana inspekcja

Dokończenie ze str. 1

od Pilicy na północny-zachód klin sił radzieckich, spowodują przełom wielkiej bitwy.

Greiser odżywa. Natychmiast postanawia, że jako komisarz obrony Warthegau uda się na inspekcję właśnie tych wschodnich rejonów swej prowincji. Nosi się nawet z zamiarem czasowego przeniesienia swej kwatery właśnie do Łodzi. Czyżby w przypływie optymizmu liczył, że jego obecność w bezpośrednim sąsiedztwie terenów rozstrzygającej bitwy opromieni go splendorem współtwórcy spodziewanego zwycięstwa?

W każdym razie podczas trwających do późnej nocy narad i konferencji, gauleiter raz po raz wraca z lubością do projektu, którego autorem jest wstawiony co dopiero bezwzględna rozprawa z powstańczą Warszawą szef policji i SS na Kraj Warty — obergruppenführer Heinz Reinefarth; trzeba proklamować tworzenie z niemieckiej ludności Warthegau „Freikorps Greiser”.*)

*

O świecie rusza spod poznańskiego zamku kawalkada dygnitarskich mercedesów.

Pierwszy dzień podróży — do Koni, Koła, Kutna — przebiega w warunkach nie zakłócających nowej fali optymistycznych nastrojów Greisera. Wszędzie panuje spokój. Jak raportują też przedstawiciele miejscowych władz okupacyjnych, mimo nocnego bombardowania Łodzi, co było z dala widoczne na skutek jarzenia się nad miastem licznych rakiet spadochronowych, ponadto wyraźnie wzmożonego podniecenia ludności polskiej spowodowanego „wyjątkowo bezczelnymi plotkami”, niemiecka zachowuje niezłomną wiarę w wodza. Greiser i jego świta wykorzystują też każdą okazję, by dodać otuchy swym urzędnikom. Rozkazuje przy tym, by przeciwdziałać całej stanowczością próbom „indywidualnej dezercji z frontu pracy na wschodzie”.

Ale już wieczorem sam potrzebuje pocieszyciela. Wieści, które otrzymuje zarówno przez Poznań, jak z Łodzi są straszne. Czołgi radzieckie przecięły pod Sochaczewem, zaledwie 65 kilometrów od Kutna, główną magistralę wschód—zachód. W związku z tym warszawskie zgrupowanie Wehrmachtu, które po-

*) Dosłownie: „Wolny Korpus Greisera” tzw. wolne korpusy były tradycyjną w dziejach militarystyki niemieckiej formą półregularnych formacji wojskowych, organizowanych z ochotników najczęściej na pogranicznych terytoriach, dla obrony „niemieckich interesów” (np. w latach 1918/21 na Śląsku do zwalczania polskich dążeń wywoleńczych).

winno obsadzać stopniowo wszystkie linie umocnień na kierunku poznańskim, zagrożone popadnięciem w kocioł zmuszone jest wycofać się wzdłuż łuku Wisły na północny zachód...

Nad ranem jeszcze straszniejsza wiadomość z Łodzi: od południowego zachodu okrąża miasto bocznymi drogami, nie podejmując dotąd walki, jakaś kolumna pancerna nieprzyjaciela.

Na próżno Greiser, znowu ludząc się, że pomyłkowo wzięto za radzieckie spieszące w rejon koncentracji wojska niemieckie, udaje się natychmiast w dalszą podróż do Łodzi. Zdoła dotrzeć zaledwie do Zgierza. Stąd — powstrzymany przez naddiegającą już z naprzeciwka falę wielkiego odwrotu — okrężnymi drogami dotrze do sztabu generała Busse, przewidywanego na dowodzącego planowanym kontratakiem w klin sił radzieckich. Tu zaś przyjdzie Greiserowi usłyszeć po raz pierwszy salwy artylerii radzieckiej bijącej z nienacka w przybyłe właśnie, rozpoczynające dopiero wyładowywać się transporty korpusu pancernego „Grossdeutschland”.

Kontynuowanie inspekcji jest już bezcelowe.

*

Kiedy po jeszcze jednej nieprzespanej nocy zupełnie załamany na duchu gauleiter powraca do swej poznańskiej rezydencji, na ulicach Łodzi trwa już bojowa defilada jednostek radzieckiej 1 gwardyjskiej armii pancerniej.

Jest 19 stycznia 1945 roku. Siódmy dzień stycznia wielkiej operacji Wisła—Odra, o której efektach po latach napisze hitlerowski generał Mellenthin: „Europa nie zaznała niczego podobnego od czasów upadku Imperium Rzymskiego”.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Włodzimierz Wanał

SENS UWSPÓŁCZEŚNIENIA

„W ciągu tysiąclecia wszystko u nas uległo zmianie, od spraw najważniejszych do zupełnie blich: stosunki społeczne, cywilizacja, kultura, nauka, formy rządów, obyczaje i zwyczaje, stosunki rodzinne i towarzyskie, architektura, sposób ubierania się, spożywania posiłków, sposób pracy, rodzaj rozrywki, wypoczynku, język, meble, kosmetyki, pieniądze, środki komunikacji, słowem wszystko, na co pada nasze spojrzenie, wszystko co konfrontujemy z podobnymi kształtami z przeszłości. Tylko Kościół zdaje się trwać niezmienny w swym doczesnym modelu... Trwałość czy stagnacja? Wyraz siły czy słabości? Czy istotnie Kościół stoi poza i ponad zmianami, jakim ulega cały otaczający go świat?”

Tak pisze w swej nowej książce, poświęconej współczesnym problemom i kłopotom Kościoła katolickiego, Wiesław Mysłek. W oparciu o obiektywną analizę dziejów oraz badania socjologiczne i etnograficzne Mysłek odpowiada na postawione pytania. Ta trwałość i niezmiennność to pozory. Zmieniły się przede wszystkim pozareligijne funkcje Kościoła działającego w warunkach następujących po sobie formacji społeczno-ustrojowych — od niewolnictwa po socjalizm. Sfery polityki, gospodarki, kultury, oświaty przejęły od lat organizmy państwowe. W życiu społecznym zbiorowym oraz indywidualnym nastąpiło oddzielenie problemów religii, od wiary od spraw ogólnospołecznych.

Zasadnicze zmiany układów społecznych i form życia, urbanizacja, ruch ludności, gwałtowny rozwój techniki i nauki, upowszechnienie oświaty przyniosły Kościołowi jeden z najdotkliwszych kłopotów w jego historii — kryzys religijności mas w krajach o długich tradycjach katolickich. Mysłek przypomina, że Fran-

*) Wiesław Mysłek „Kościół współczesny”. Wyd. „Książka i Wiedza”, W-wa, 1963, str. 276, cena 12 zł.

cję ogłoszono „krajem misyjnym”, że utyskuje się w sferach kościelnych iż we Włoszech na około 50 mln. mieszkańców co najmniej 20 milionów nie o Kościele nie wie, a w Rzymie na 2 miliony ludności zaledwie 200 tysięcy zasługuje na miano katolików. Kryzys religijności — czego Kościół nie jest w stanie ukryć — nie ominął oczywiście i Polski, chociaż pozory mogą stwarzać wrażenie odwrotne. Autor książki przytacza mnóstwo wypowiedzi prasy katolickiej — teologów, duszpasterzy, publicystów z niepokojem wskazujących na rzeczywiste objawy kryzysu Kościoła.

Większą część swojej książki poświęca Mysłek omówieniu wysiłków hierarchii kościelnej, zmierzających do powstrzymania groźnych zjawisk kryzysowych. Próby te objęły cały Kościół, a ich najdobitniejszym wyrazem są dyskusje soborowe. Sobór ma zmierzać, jak to określił Jan XXIII, do „aggiornamento”, do dostosowania się do współczesności, do wyrównania strat. Mysłek skupia się

Nasze recenzje

jednak — i chyba słusznie — na problemach Kościoła w Polsce. Autor książki szczegółowo omawia dziejiny, w których Kościół szuka skuteczniejszych środków działania, usiłując jednocześnie pokonać wiele wewnętrznych wahań i sprzeczności. Mysłek pisze o próbach nowego ukształtowania roli biskupów i episkopatów, o dążeniu do takiego formowania duchowieństwa, aby sprostało nowym potrzebom. Omawia nowe funkcje, jakie usiłuje się nadać zakonowi oraz apostołstwu świeckich. W tym miejscu warto podkreślić, że część książki przedstawiająca działalność instytucji świeckich — ukrytej formy działania w środowiskach pracy. Dużo miejsca zajmują w książce także problemy jak forma i struktura parafii, rodzaje duszpasterstwa, zmiany w liturgii i sztuce sakralnej. Za-

gadnienia te omówione są w książce Mysłka rzeczowo, beznamiętnie, obiektywnie.

Dla sprawy współzycia społecznego, dla jedności społeczeństwa, a co za tym idzie, dla właściwej atmosfery rozwoju kraju ważniejsza od problemu nowych form duszpasterstwa jest ich treść. Tutaj zaś toczy się w Kościele nie rozstrzygnięty spór. Jego kierownictwo, ostrożne w wyborze nowych metod dobiera i rozwija takie, które mogą służyć rozszerzeniu pozareligijnej pozakulturowej działalności Kościoła. Wyplwają to z postawy wrogości wobec przemian socjalistycznych w kraju, z chęci ich maksymalnego opóźnienia. Takie nowe formy jak np. forma kształcenia apostołatu świeckiego — który ma wpływać, nie wyrzekając się nawet nacisku na otoczenie w celu jego nawracania — czy wreszcie duszpasterstwo wśród poszczególnych grup zawodowych są próbami narzucenia politycznych koncepcji Kościoła w poszczególnych dziedzinach życia. Stoją w sprzeczności z zasadami tolerancji wyznaniowej, prowadzą do zwalczania wolności sumienia.

Inne „unowocześnieńia”, popularyzowane przez hierarchię kościelną mają służyć umocnieniu typu religijności dewocyjno-nawykowej i mają podnosić napięcie religijne dla nadania życiu publicznemu piętna klerykalnego.

Odmienne stanowisko reprezentują działające w naszym kraju nurty intelektualistów i inteligencji katolickiej. Uważają oni, że wysiłki Kościoła powinny się skupiać przede wszystkim w dziedzinie kulturo-religijnej, akcentując konieczność wzniesienia dodatnich wartości w życie społeczne. Nie negują oni jednocześnie wartości moralnych wnoszonych przez ludzi innych światopoglądów.

W tej chwili szanse tego typu agiornamento są w Polsce jeszcze niewielkie. Wydaje się jednak, że w przyszłości będzie ono zdobywać sobie miejsce, ponieważ rzeczywistość silniejsza jest od jej przeciwników, a rzeczywistość ta wymaga od Kościoła przystosowania się do niej.

Eugeniusz Paukszta

Od Krakowa

Graficznie — cacko. Treściowo — bogata kopalna materiału, wiedzy, a na dodatek i estetycznych wzruszeń. Oto najogólniej co można powiedzieć o dwutomowej edycji Stanisława Witkiewicza (ojca) „Pism Tatrzzańskich”, po raz pierwszy wydanych w jednym zbiorze tekstów tego równie niepospolitego człowieka, jak później jego syn. Stanisław Witkiewicz, to jeden z odkrywców Tatry, człowiek urzeczony tatrzańskim pejzażem, propagujący go tak słowem pisarskim, jak pędzlem malarza. Wydawca zebrał jedno i drugie, tekst nie tyle ożywiają, co pogłębiają reprodukcje malarskie Witkiewicza. Przy lekturze zaś, miejscami pociągającej jak rzadko, nasuwa się czasem żalostne westchnienie, jaka szkoda, że inne regiony Polski nie miały na swej

służbie tylu wytrawnych piór, co Tatrę i Zakopane.

Wspomnienia wybitnej aktorki Jadwigi Teoplińskiej-Mrozowskiej „Słoneczne życie”. Złe napisałem, trzeba powiedzieć inaczej: aktorki, podróżniczki, pisarki. Kobiety, której imieniem nazwano pasmo górskie i która sama nadawała nazwy geograficzne. Która polowała na tygrysy, wygłaszała naukowe odczyty, ujarzmiła swą grę ze sceny, znała najwybitniejszych współczesnych naszego wieku, która oświadczała się zawsze za życia w miłości. Taka była i jest Mrozowska, o takiej sobie pisze ciekawie, czasem mądrze, głęboko, niekiedy naiwnie w swej książce, wspomnieniach i nie tylko wspomnieniach. Osiemdziesiąt lat w jakimś skrócie, w syntezie, wśród ciekawostek, zawsze pośród ludzi i bliska tym ludziom. Zalecam gorąco, póki czas, to jedna z najpiękniejszych książek tego typu w ostatnim okresie.

Osiemdziesiąt lat po pierwszym przekładzie sporządzonym przez F. Faleńskiego, Jalu Kurek podjął się ambitnej i niełatwej próby przekładu

Francesca Petrarciego „Sonetów do Laury”, wyboru 102 tekstów ze znacznie pełniejszego zbioru liryków włoskiego geniusza. Kurek, jak sam zaznacza, nie powiela filologicznie tekstu, ale dąży do parafrazy poetyckiej, „...w której tyleż się mieści lośność, co i głębi”. Przekład zaiste piękny, piekielnie trudny, (przecież to sonety!), subtelny, kunsztownie oddający piękno liryki miłosnej, odbicie niezaspokojonego uczucia do Laury, trwającego całe życie. Jalu

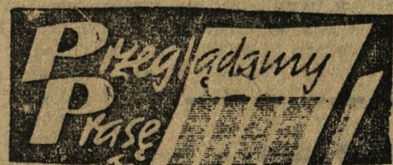
Z KSIĄŻKĄ NA TY

Kurek marzy, by jego przekład przybliżył Petrarcę polskiemu czytelnikowi. Śmiem mniemać, że marzenie to zostanie spełnione.

Witold Wirpsza natomiast zajął się przekładem przepięknej poetyckiej prozy Rainera Marii Rilke’go „Auguste Rodin”, utworem, we wspaniały artystycznie sposób odwzorującym proces twórczy i sens dzieła rzeźbiarskiego genialnego artysty. Rilke najpełniej chyba wyraził w tym dziele znaczenie Rodina, a równie pełnie

określił także sam siebie, swoje widzenie świata. Podziwiać należy przy tej pozycji wszechstronność zainteresowań Wirpszy, jego oczytanie, jego wycucie istoty przekładanego tekstu, tak w walorach artystycznych jak i pojęciowych.

Kraków też nadal konsekwentnie przyswaja nam w pełnych wyborach twórczość wielu zapomnianych pisarzy. W serii dzieł Artura Gruszeckiego otrzymujemy powieść „Cyganiczka”, interesujący obraz obyczajowy z fabryki papierosów przy Dolnych Młynach w Krakowie pod koniec XIX wieku. I znów Gruszecki odzywa jako pierwszy chyba konsekwentny autor powieści środowiskowej, z żywym wątkiem fabularnym. Po górniczych „Kretach” i „Hutniku” przypomniana zostaje powieść „fabryczna”, jak to określał w owym czasie ktoś z recenzentów. I co znamienne: Gruszecki potrafił pisać znacznie ciekawiej, niż niejeden z naszych pisarzy w utworach z tzw. okresu produkcyjnego. Zatem schemat niekoniecznie musi ciążyć na powieści środowiskowej...



KIERUNKI PRAC RWPG

Synfetyczny obraz dotychczasowej współpracy krajów socjalistycznych — członków Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i kierunki działania na przyszłość przedstawia w „Życiu Gospodarczym” Piotr Jaroszewicz. Do podstawowych kierunków współpracy autor zalicza koordynację planów krajów RWPG na najbliższą 5-letnią dalszy postęp w specjalizacji i kooperacji produkcyjnej oraz tworzenie zrzeszeń, porozumień lub przedsiębiorstw międzynarodowych. W bieżącym roku przed RWPG stoi także zadanie koncentracji środków i kadr dla zapewnienia postępu technicznego i naukowego; uregulowana ma być m. in. sprawa cen i taryf tranzytowych, co powinno sprzyjać dalszemu rozwojowi handlu zagranicznego.

Pisząc o tych zamierzeniach, autor zwraca uwagę, że:

„Z analizy stanu współpracy wielostronnej wynika, iż w określonych dziedzinach szerzej i głębiej należy rozwijać współpracę w trybie dwustronnym i trójstronnym, która jest integralną częścią współpracy wielostronnej w ramach RWPG (...). Dotyczy to przede wszystkim specjalizacji i kooperacji produkcyjnej.”

WSPÓLNY TEREN — WSPÓLNA INICJATYWA

W województwie katowickim wprowadzono niedawno jako zasadę tzw. koordynację poziomą.

Punkt wyjścia stanowi dla niej tzw. eksperyment bielski, który wykazał, że jest możliwa koordynacja między zakładami różnych branż. Jej celem jest lepsze wykorzystanie mocy produkcyjnych w skali zakładu, powiatu lub — jak ostatnio — województwa. Na czym polega koordynacja poziomu? Oto kilka przykładów z Bielska.

W planach 20 zakładów metalowych przewidziano 62 mln. zł na budowę magazynu; po porozumieniu postanowiono zbudować jeden wspólny magazyn, który kosztował 24 mln. zł; oszczędność — 60 procent planowanej sumy. Z każdego niemal zakładu jeździł codziennie samochód po gazy techniczne, a teraz jeden samochód obsługuje kilkanaście fabryk. Powołano międzyzakładowe przedsiębiorstwa remontowe, zorganizowano wyodrębnienie narzędzi składanych dla wielu zakładów, utworzono wspólny ośrodek zdrowia dla wszystkich przedsiębiorstw metalowych, liczne ośrodki informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej połączono w jeden.

Pisząc o tych sprawach, Marian Turski na łamach „Polityki” informuje, że w Katowicach zatwierdzono tylko zasadę wspólnych inicjatyw w poszczególnych rejonach, pozostawiając szczegółowo do decyzji rad powiatowych.

PRZYKŁAD POSZUKUJE NAŚLADOWCÓW

Wiesław Wernic poszukuje w „Tygodniku Demokracji” naśladowców przykładu Zakładów Przemysłu Cukierniczego im. 22 Lipca w Warszawie. Rzecz dotyczy utworzenia tam komórki badawczej, zatrudniającej psychologów i socjologów pracy. (Na marginesie — podobno

bardzo trudno znaleźć psychologów i socjologów, którzy godziliby się na praktyczne wykorzystanie swej wiedzy o człowieku, a przede wszystkim na bezpośredni codzienny kontakt i oddziaływanie na zatrudnionych w zakładach personelu). Zamiast komórki kadr, utworzono dział spraw osobowych z sekcjami ewidencyjną i kontroli obecności, szkolenia, psychosocjologiczną i zespołem do spraw socjalno-bytowych. Nie mały koszt zorganizowania i prowadzenia tych placówek opłaca się zakładom sowicie. Dzięki badaniom przyczyn konfliktów międzyludzkich i przyczyn płynności kadr, zmniejszyła się w zakładzie absencja chorobowa, a przez stworzenie klimatu życzliwego traktowania ludzi polepszona atmosfera w zakładzie i — co stwierdzono — zwiększyła się wydajność pracy.

CENA ZIEMI

Na Podhalu we wsi Ciche toczy się spór o kawałek gruntu, a właściwie o to, czy jeden gospodarz ma prawo przejeżdżać na swoje pole przez ziemię drugiego gospodarza.

„Na 5000 zł ocenili biegli wartość spornego odciinka. Ale ma on jeszcze inną cenę. Wokół tego, czy Jakubiec i Obrochta mają prawo przejazdu itd. przez ten pas, od lat 9 toczy się procesy. Ich koszty wynoszą już ponad 200 000 zł; przy tym Ratułowski sprawa kosztowała także kilkadziesiąt miesięcy więzienia i ruinę gospodarstwa. (Obrochta i Jakubiec — bogaci gospodarze — łatwiej pokrywają koszty). Zmieniają się pozeje oskarżenia, zmieniają się sędziowie, zmieniają się orzeczenia sądu. Jest rok 1963. Sprawa trwa. Ostateczny wyrok ciągle jeszcze nie został wydany.”

Tak pisze o tej nieprawdopodobnej, a jednak charakterystycznej (niestety) dla niektórych wiosek sprawie — Janusz Głowacki na łamach „Kultury”.

MIEDZY OBYWATELEM A URZĘDEM

„Gazeta Chłopska” (od nowego roku w nowej, bardziej kolorowej i atrakcyjnej szacie graficznej) zajmuje się sprawnością działania naszej administracji. Autor artykułu — Bronisław Tronicki popiera postulat, by powołać przy Urzędzie Rady Ministrów specjalistyczną komórkę, która zajmowałaby się unowocześnianiem i usprawnianiem metod i techniki pracy administracyjnej. Komórka taka miałaby swoje jednoosobowe odpowiedniki w resortach i wojewódzkich radach narodowych. Zdaniem autora jest to niezbędne po to, żeby działalność administracji sprowadzić do koniecznych proporcji. Dotychczas bowiem spotyka się takie oto farsowe sytuacje:

„Sprawą udzielenia pewnej koncesji na prowadzenie zakładu usługowego zajmowało się 19 różnych pracowników, wykonano 335 czynności administracyjno-biurowych, akta przeszły 126 razy z rąk do rąk, były kilkadziesiąt razy odnotowywane, numerowane, podpisywane.”

PIÓREM POZNAŃSKICH AUTORÓW

Jerzy Korczak drukuje w „Życiu Literackim” artykuł pt. „Łosy poległych i żywych” (Spotkanie z Walcem po 19 latach, wspomnienia z walk frontowych). „Tygodnik Kulturalny” zamieszcza fragment prozy Przemysława Bystrzyckiego pt. „Wizyta”.

LEKTOR